



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Ks. Augustyn Kordecki na szanckach Częstochowy.

Anioł cierpliwości.

Istnieje anioł, eo człowieka wiernie
Wiedzie wśród życia przepaścistych dróg.
By nam przytępić ziemskich trudów ciernie,
Za towarzysza zsyła go nam Bóg.

W. obliczu jego spokój jest rozlany,
On w cieniu smutku jasną smugę śle.
To dobrej woli ludziom — anioł znany,
Co się aniołem cierpliwości zwie.

On to, nadziei przepasany wstęgą,
Prowadzi dusze wśród zwątpienia mgieł.
Jest słabych siłą, a silnych potęgą,
On w małych — wielkich dokonywa dzieł.

Gdy nurt gwałtowny wiedzie na bezdroże,
On ster żywota w silną wzięwszy dłoń,

Prostą mu drogę odszukać pomoże,
W niebo tętniącą obracając skroń.

I póty leczy serce smutkiem chore,
Aż łask mu wyższych otworzywszy zdroj,
Bunt gniewu, pychy zamieni w pokorę,
Zwycięstwem prawdy zakończając bój.

Na słabość bratnią lica nie zachmurzy,
Koi jad cierpki nazbyt ostrych słów.
Silną kotwicą przetrzyma gwałt burzy,
Słoneczną ciszą pocieszając znów.

Tak swem obliczem jasnym, jak blask słońca,
Świeci nad ziemią cichy anioł ten.

A godłem jego:
Každy ból ziemski przemija jak sen!

E. Lejowa.



Obrońca Jasnej Góry.

(W trzechsetną rocznicę urodzin).

(Dokończenie.)

Jeżeli opuścimy klasztor, któż wstrzyma bezbożników? mury będą zniszczone, wizerunek Najświętszej Panny od tylu lat słynący cudami zostanie zbezczeszczone, a to chyba najgłówniejszy powód, który nam nakazuje wytrwanie.

I wytrwał.

W sam dzień Bożego Narodzenia dnia 25 grudnia 1655 r. Szwedzi, dowiedziawszy się o wielkich zwycięstwach Stefana Czarnieckiego i powrocie Jana Kazimierza do kraju, odstąpili od Częstochowy.

To cudowne ocalenie świętego grodu, opisuje Kordecki w swojej Gigantomachii.

Opisuje, lecz nie mówi nic o sobie, o swoich czynach, nie szuka chluby, uważając je jako spełnienie obowiązku.

Podczas ciężkich chwil, jakie przeszedł przez ciąg sześciotygodniowej walki ze Szwedem, nie oskarża nikogo, nawet imiona najtchórzliwszych nie wysuwają mu się z pod pióra.

Owszem, błędy innych, małoduszność załogi przyjmuje z pokorą na siebie, mówiąc:

„Wielekroć traciliśmy przytomność i byliśmy przejęci strachem, ale jak tylko zebraliśmy się na naradę, wszystkich serca znowu napełniała odwaga.”

Współcześni wszakże temu wielkiemu bohaterowi nie dostatecznie go oceniali a przynajmniej nie pisali o nim — jeden tylko Piotr Zbylitowski w pamiętnikach swoich powiada:

„Niezwykły ten człowiek (Kordecki) nie tylko był zacnym i pobożnym zakonnikiem, ale i wielkim cnot obywatelom, a z czynów choć z mieszczańskiej ro-

dziny pochodził, prawowitym rycerzem i szlachcicem.”

W ubiegłym wieku najpierwszy Mickiewicz podniósł zasługi wielkiego męża. W prelekcjach swoich miewanych w Paryżu, długi ustęp w r. 1842 poświęca obronie Częstochowy, o Kordeckim mówi z wielkim entuzjazmem i nadzwyczajnym uznaniem; podziwia jego siłę ducha i energię i stawia jako wzór nadzwyczajnej pokory.

Kończy zaś rzecz swoją temi słowy:

„Kordecki był jednym z tych ludzi, których Opatrzność zsyła dla kształcenia pokoleń.”

Henryk Rzewuski nieco późniejszą chwilę wybrał w powieści swojej p. t. „Rycerz Lizdejko,” na samym wszakże wstępie powiada:

„Kordecki z swoimi zakonnikami i garścią szlachty, zamkniętej z nim w Częstochowie, wytrzymał oblężenie i odrzucał wszelkie warunki, ofiarowane mu przez Szwedów do poddania się.”

Kordecki zaś po tym znakomitym czynie, nie spoczął na laurach, owszem, mając wciąż na myśli wielką ideę, nakłaniał do jedności i zgody. Ziarno przez niego rzucone wykiełkowało najpierw konfederacją Tyszowiecką, *) zawiązaną zaraz w kilka dni po cudownym ocaleniu Częstochowy 29 grudnia 1655 r.

Warszawa, chcąc okazać Kordeckiemu swą wdzięczność, ofiarowała OO. Paulinom zniszczony przez Szwedów kościół Św. Ducha i plac przy nim będący.

Przeor Jasnogórski skorzystał z tego daru, wybudował klasztor i osadził w nim zakonników swojej reguły r. 1661.

Wspomina o tem Kazimierz Wójcicki i znany historyk zeszłego stulecia, Julian Bartoszewicz, który pisząc o oblężeniu Częstochowy, powiada:

„Kordecki zostawił opis cudownej obrony Częstochowy, której przewodził, lecz nie nie przypisuje sobie, przypisując wszystko cudownej opiece Najświęt-

*) Tyszowce w gub. Lubelskiej.

szej Panny. Nie szuka chwały ze swego wielkiego czynu, nie znał go nikt przed oblężeniem, nie wysuwa się też na widownię i po tym wielkim wypadku. Nie ocenili go dostatecznie jemu współczesni, lecz dziś umiejają cenić i ze czcią wspominać."

I rzeczywiście w pochodzie wieków i dziejów, nie zaciemniła się ani na chwilę ta świetlana postać, wszyscy historycy oddają mu należny hołd, poeci sławią jego męstwo, artyści uwieczniają chwilę jego obrony, a między innymi Andriolli w obrazie: „Obrońca Częstochowy,” Matejko w obrazie: „Kordecki.” Józef Szujski, historyk i poeta zostawił piękny utwór p. t. „Obrońca świętej Częstochowy,” w którym Kordecki głównym jest bohaterem.

Kraszewski w powieści swej p. t. „Kordecki,” — Sienkiewicz w wiekopomnym swem dziele „Potop” przy opisie oblężenia Częstochowy, przedstawiają Kordeckiego w takim świetle, na jakie mocą swego ducha zasłużył, a jakie odtworzyć mógł tylko taki mistrz słowa, jakim jest Sienkiewicz.

Chociaż wszyscy czytelnicy nasi znają zapewne tę wspaniałą epopeję, która wyszła także i w wydaniu skróconem dla młodzieży, nie możemy się wstrzymać od zamieszczenia z niej chociaż małego ustępu, ustępu, gdzie Kordecki na doniesienie, że cały kościół jest podminowany, tak odpowiada:

„Duch mój przenika ziemię i powiadam wam: Kłamią nieprzyjaciele wasi i niema prochowych smoków pod kościołem!... Wy, ludzie trwożliwych serc, wy, w których przestрах wiarę potłumił, nie zasłużyliście na to, by dziś jeszcze wejść do królestwa łask i odpocznienia — więc nie masz prochów pod stopami waszemi! Bóg chce ocalić ten przybytek, aby jako arka Noego, unosił się nad potopem klęsk i niedoli, więc w lnię Boga po raz trzeci powiadam wam, niema prochów pod kościołem. A gdy w Jego imieniu mówię, kto będzie śmiał mi przeczyć, kto wątpić się jeszcze odważy?...

„Potop” Sienkiewicz.

Z powieści Kraszewskiego p. t. „Kordecki” nie dajemy żadnego wyjątku, zachęcając tylko do jej przeczytania. Będzie to hołd dla wielkiego bohatera, którego 300 letnia rocznica urodzin przypada 16-go listopada b. roku. Dwudziestego zaś marca b. r. ubiega 230 lat od jego śmierci.

Kordecki bowiem zmarł 1673 roku d. 20 marca w Wieruszowie. Pojechał tam jako prowincyał OO. Paulinów dla zwiedzenia klasztoru, tam zachorzał i tam życie zakończył, gdzie w dwóchsetną rocznicę śmierci t. j. r. 1873 u stóp statui Matki Boskiej wmurowano pamiątkową tablicę.

Na wzgórzu Jasnogórskiem wznosi się pomnik Kordeckiego, a każdy z przybywających do świętego miejsca, widzi z dala dłoń jego wzniesioną z krzyżem jakby dla błogosławieństwa. Lecz największym pomnikiem jest kościół i klasztor od nieprzyjaciół przez Kordeckiego ocalony.

Ciało zakonnika bohatera spoczywa w grobach kościoła Częstochowskiego.

A. Z. Dąbrowa.

BŁĘKITNA WSTĘGA.

Powieść z XVI wieku

przez Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— To tylko mogę dodać — rzekła głośno — że nie dalek jak pół roku temu, jeden z zamorskich królów, co to na odległych wyspach nad milionami podanych panuje i ma pałace z samych dyamentów, przysłał z prośbą o rękę jednej z dwórek...

— I wyszła za niego? — spytała znów Zofka.

— I to do waćpanny nie należy! — ofuknęła ochmistrzyni, dodała wszakże: — A choć nie należy, powiem, że nie same dyamenty szczęście stanowią, a żadna z naszych dwórek nie wyszłaby za wszelkie bogactwa całego świata za jakiegoś niedowiarka; ba, gorzej, boć pono ów król był poganinem i słońcu się kłaniał, gdy się w jego dyamentach i drogich kamieniach przeglądało.

Jaki to tam był panujący i kiedy powstał w umyśle pocziwej ochmistrzyni, która tem opowiadaniem chciała dwór Anny Jagiellonki w wielkim blasku przedstawić, pozostało to dla potomnych tajemnicą.

— A teraz to mamy na widoku Ernesta, brata cesarza niemieckiego... — rzekła pani Agnieszka poufnie.

— To przecie do królowny, bo z jej ręką chcą Habsburgowie tron Polski po bezdzietnym Zygmuncie-Auguście odziedziczyć — odrzekła księżna, która już coś nie coś o tych projektach słyszała.

— O królownę, rozumie się, że o królownę.

I znów dla siebie tylko wiadomych powodów, przyciszonym głosem dodała:

— Mówią przecie, że gdy królowna sama nie zechce, narai mu jedną z dwórek...

Pani Zenobia nie nie rzekłszy, pokręciła tylko głową a Zofka usłyszawszy te niebaczne słowa, zapisała je sobie głęboko w pamięci, podsycając niemi wygórowaną swą ambicję.

Jednocześnie w komnacie królowny prowadzono również tajemniczą, przyciszoną rozmowę. Jenó w rozmowie tej wybujała wyobraźnia miejsca nie miała, lecz sprawy obchodzące tak ostatniego z Jagiellonów jako i całą rzeczpospolitą.

— Obałamucony przez Mniszcha *) tego Czecha, do cna obałamucony! niecny ten człowiek wyzyskuje najmiłościwszego monarchę, z wszelkiego ogołaca mienia i nikomu dostępu nie daje — mówił z nieudany zalem książę Holszański.

— I nie widzisz sposobu, żeby go z rąk tego niecnika wydobyć? — spytała królowna.

Książę rozłożył ręce, dając poznać zupełną w tym względzie bezradność.

— I mówicie, że ze wszystkich dóbr królewskich korzystają jenó panowie? — spytała po chwili milczenia Anna.

— Ze wszystkich, najzupełniej ze wszystkich! król bowiem woli znieść brak najpotrzebniejszych nieraz rzeczy, niż wszczynać kłótnie między panami i narażać rzeczpospolitą na zamieszki.

— Szczególniejszy monarcha z naszego najmiłościwszego — rzekła w zamyśleniu królowna.

— Najszlachetniejszy człowiek, najrozumniejszy mąż stanu i polityk naszego wieku! — odparł z zapalem Holszański **).

*) Mniszchowie z Czech pochodzili.

**) Zalety te wszyscy historycy Zygmuntovi Augustowi przyznają.





Pawian niedźwiedziowaty (dzakma).

— I taki król, taki człowiek schodzi bezpotomnie! — westchnął.

Zawtórowała mu westchnieniem królowa.

I zaczęli znów mówić przyciszonym głosem o sprawach domowych Zygmunta Augusta. Rozmawiali zaś tak pocichu, że i najwprawniejsze ucho nie mogłoby nie z ich rozmowy ułoić.

Nie ułoił więc i Jacek Skoła, który po odejściu Gomółki stał pode drzwiami, przykładając doń pilnie ucho.

— Dowiesz się jakichś tajemnic, łacniej będziesz mógł zdobyć stanowisko — szeptał mu jeden głos uparcie.

Lecz zaraz drugi głos zawołał:

— To tym sposobem chcesz zdobyć błękitną wstęgę? Wstęgę, którą od dawien dawna córy domu Jagiellonów dają tylko najzasłużeńszym!

I ten głos zwyciężył.

Jacek odsunął się ode drzwi i począł myśleć:

— Jak to już dawno jestem w usługach królowej? och, dawno! — westchnął. — Królowa zabrała mnie małym, zaraz, gdy rodziców mój zabrał; królowa obiecała wypromować... dla mieszczanina wielki to splendor... jestem paziem, uczyć się dworskiego obejścia... i co?... — zakończył te myśli swoje.

— Królowa świętobliwa pani, ale to klasztor, wyżyć trudno, w piersi grają mi jakieś pragnienia.. chciałbym coś robić, lecieć w świat... ale dokąd?...

Nagle przerwał wątek swych myśli, zrobiła się jakby ciemnia w jego umyśle, tylko mu wciąż brzmiało pytanie:

— Dokąd, po co?

Rozbłysło coś w jego wyobraźni i zamigotała mu jasną swą barwą błękitna wstęga.

— I cóż ci po niej, co? to dobre dla nich, dla niej!...

I wyciągnął rękę w stronę komnat niewieścich.

A w umyśle jego powstawały coraz to nowe obrazy, uśmiechał się do nich. Potem znów odezwał się głos buntowniczy. Jacek chcąc go w sobie przytłumić, począł się przechadzać po antikamerze. Lecz natrętne myśli nie ustępowały mu z głowy, stanął więc i dla odpędzenia ich rzekł:

— Głupiś!

— Głupiś! — powtórzył na cały głos, wyciągając przed siebie rękę.

— Tyś sam głupi! — powtarzał głos drugi.

I pochwycając go za rękę, dodał:

— Chociażes dworzanin królewski, potrafię się z tobą rozprawić!

— Czego chcesz? ktoś ty? W imię Ojca i Syna... zawołał z przerażeniem Jacek. Nie spostrzegł bowiem, że ktoś wszedł do pogrążonej w ciemnościach antikamery, i sądził, że zły duch porywa go w swoje szpony.

Tymczasem zapytany w miejsce odpowiedzi, ścisnął Jacka tak silnie za rękę, że mu aż skwierczki w oczach stanęły. Pochwylił wszakże drugą ręką napastnika i tak dobrze mu się udało, że od razu złapał go za włosy.

I po omacku rozpoczęła się bójka. Napastnik chociaż niższy wzrostem, przewyższał go za to siłą — wodzili się więc po antikamerze, usiłując jeden drugiego pokonać.

Wśród tych wysiłków uderzył któryś o drzwi i nim się opatrzyli, wpadli do małej bokówki.

— A to co za śmiałość! — zawołał głos dziewczęcy.

Oprzytomniło ich to wołanie, spojrzeli i zobaczyli przed sobą zdziwione oczy Kornelki, która spostrzegłszy ich powichrzone czupryny, parsknęła śmiechem, i z tym śmiechem żywo do komnaty swej pani pobiegła, bo w tejże chwili ozwała się kołatka.

Stanął też zaraz u progu z powichrzoną czupryną Jacek i odsunął z ukłonem oponę wychodzącemu księciu Holszańskiemu.

— A ty Pietrze co tam myszkujesz! — ozwał się książę, ujrawszy Jagmunta wychodzącego z bocznej komnaty, do której w tak dziwny sposób się dostał. Zaraz też książę pochwylił go za ucho, mówiąc:

— Dam ja tobie, he! A potem zapytał: — A jejmość księżna i księżniczka?

— Jeno co odjechały — odrzekł dworzanin — nie przyznając się, co go w antikamerze spotkało.

B. Dyakowski.

PAWIANY I KOTAWCE.

W N-rze 29 „Wieczorów Rodzinnych” z r. z. do krótkiego artykułu o „Pawianach” była dołączona rycina nie dająca jasnego pojęcia o tych wielkich a dziwnie złośliwych, silnych i przebiegłych małpach, z tego względu daje-



Pawian czarny.

my podobizny, przedstawiające dwa gatunki pawianów: czarnego i niedźwiedziowatego czyli dzakmę. Pierwszy z nich zamieszkuje wyspy Sundzkie, drugi Afrykę południową i jest właśnie tym, który tak bardzo daje się we znaki krajowcom.

Wszystkie pawiany odznaczają się dość znacznym wzrostem i siłą. Należą one do większych małp, dorastają bowiem jednego metru długości, są tak silne, że nietylko psom dają radę, ale nawet lampart nie zawsze zdoła im sprostać. Jedyne lew stanowi dla nich istotnie niebezpiecznego przeciwnika, przed którym najsilniejszy pawian umyka z przerażeniem.

Pawiany różnią się wybitnie od wszystkich innych małp ciężką, krępą i mocną budową, której zawdzięczają siłę, ale zarazem i brzydką niezgrabną postać. Szczególnie charakterystyczną ich cechą stanowi wydłużony pysk, przypominający nieco psi, podczas gdy inne małpy mają zwykle twarz znacznie mniej wystającą i podobną trochę do ludzkiej. Duże i silne, sterczące kły nadają im groźny, i drażniący wygląd. Małpy te zamieszkują przeważnie skaliste miejscowości. Po ziemi w zwykłych warunkach chodzą powoli i ociężale, jak stare spasio- ne psy. Umieją jednak w razie potrzeby poruszać się prędko, a w ucieczce galopują nawet bardzo dobrze. Tylko niektóre gatunki przebywają w lasach i umieją łązić po drzewach, znacznie przytem zgrabniej, niż można by było sądzić z ich budowy. Nigdy jednak nie dorównują w zręczności i zwinności innym małpom.

Pawiany odznaczają się nadzwyczaj złośliwym usposobieniem, a chociaż, schwytane za młodu, dają się oswoić i uczą się nawet z łatwością różnych sztuk, nigdy jednakże nie można im zbyt- nio dozwierzać i nie można zostawiać z nimi dzieci, ponieważ pawian przy swej sile i złośliwości może nieraz pokaleczyć je niebezpiecznie. Z tego samego powodu należy być bardzo ostrożnym w obec pawianów, trzy- manych w menażeryach.

Pokarm pawianów stanowią głównie rośliny, jada- ją oraz różne drobne stworzenia, jak owady, ślimaki, jaszczurki, ptaszki. Nieraz atoli rzucają się i na większe zwierzęta, jak kozy, owce, antylopy. Robią to zwłaszcza stare i silne małpy.

Dla ludzi pawiany są nadzwyczaj uciążliwe przez to, iż urządzają tłumne najścia na plantacje i szerzą w nich ogromne spustoszenia. W czasie plądrowania ustawiają czujne straże, których obowiązkiem jest ostrzegać towarzyszy głośnym krzykiem o zbliżaniu się człowieka. Straże te są bardzo pilne i dba- łe, wiedzą bowiem doskonale o tem, że w razie złego

stróżowania własni bracia i najbliżsi krewni zame- czyliby ich i zagryźli na śmierć.

Szkody, zrządzone przez pawiany, są tem zna- czniejsze, że małpy te w czasie takiego najścia na plantację nietylko jedzą, ile się zmieści, ale jeszcze unoszą ze sobą całe zapasy do kryjówek w skałach. Smutnie wygląda plantacya po ich odwiedzinach! Nic więc dziwnego, że ludzie nienawidzą te małpy, starają się tępić je wszystkimi sposobami i urządzają na nich obławy.

Małpy, przedstawione na rysunku w N. 29 r. z, należą do tak zwanych kotawców czyli koczkononów, których różne gatunki można widywać nieraz w me- nażeryach. Są one znacznie mniejsze od pawianów, odznaczają się wysmuklejszą i zgrabniejszą postacią, należą do najprzyjemniejszych i najweselszych małp, podczas gdy pawiany są wstrętne, złośliwe i niemile.

Towarzyskie, nadzwy- czaj zwinne i ruchli- we, kotawce oswajają się bardzo łatwo, uczą się rozmaitych sztuk i przywiązują się prę- dko do osób, które opie- kują się nimi i obcho- dzą się z nimi dobrze.

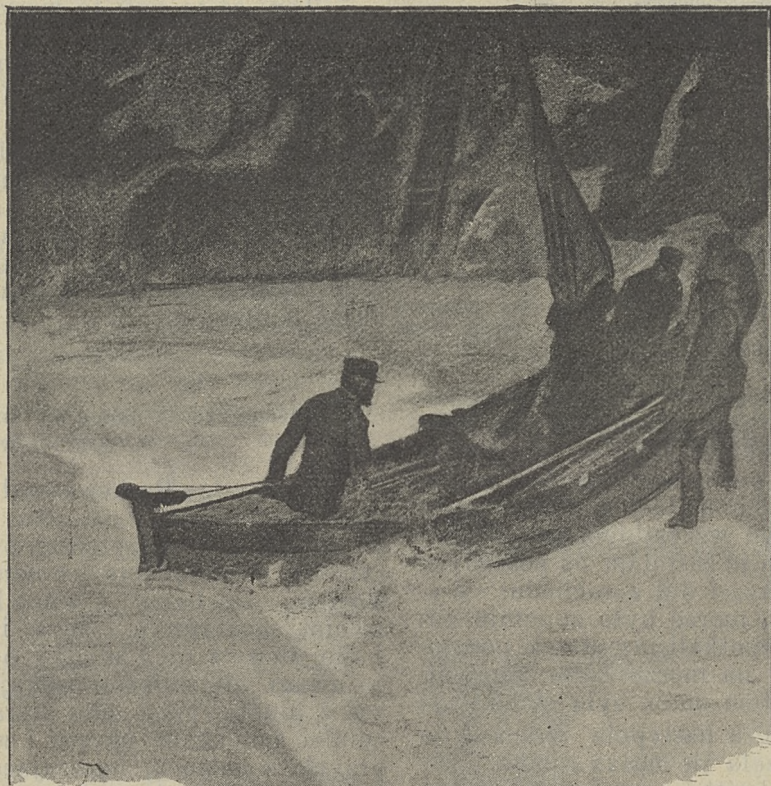
Wszystkie gatunki kotawców zamieszku- ją Afrykę i przebywa- ją w lasach, łąząc nad- zwyczaj zgrabnie po drzewach. Chociaż są jednak zgrabne, ładne i zwinne, nie cieszą się wcale względami kra- jowców, a to dla tego, iż na plantacjach zrzą- dzają szkody nie- mniejsze od pawia- nów: naszedłszy całą gromadą pole kukury- dzy, potrafią w krót- kim czasie zniszczyć cały jej zbiór, niety- le bowiem zjedzą, ile nałamią i wypsują, ko- szując.

Całe jeszcze szczę- ście, iż nie są tak zu- chwale, jak pawiany, i że łatwiej dają się odpędzić i odstraszyć. Człowieka właściwie nie boją się, ufają bo-

wiem swej zręczności i liczą na to, że zawsze potra- fią w porę umknąć na drzewo i ukryć się w gąszczu jego konarów. Nie próbują jednak bronić się i umy- kają natychmiast, skoro tylko właściciel plantacyi po- dejdzie bliżej.

Chociaż nie są silne, mało jednak mają wrogów, prawdziwie niebezpiecznych, a to dla swej zręczno- ści i zwinności, z jaką umieją uciec w jednej chwili na wierzchołek drzewa. Obawiają się jedynie lam- partów, węzów jadowitych i krokodyli. Przed wężami czują taki strach, że z największą ostrożnością podchodzą do każdej dziupli, każdego kamienia, pod którym może się ukrywać jeden z tych ich wrogów.

Z krokodylami spotykają się w czasie wycieczek nad rzeki, których brzegi odwiedzają często. Dojrza- wszy groźną paszczę, wodnego potwora, który bynaj- mniej nie gardzi mięsem małpiem, kotawce z przera- żeniem umykają na wysokie gałęzie. Ale tam wraca



... że się nam udało wylądować. (Pałac w głębi oceanu).

im męstwo: pewni, że wróg nie może już ich osiągnąć, wrzeszcząc, otwierając szeroko pyski, szczerząc zęby, jak gdyby drwiły z niego i w ten sposób chciały wyrzucić na nim zemstę za strach, jakiego same doznały przed chwilą.

Krokodyl zresztą nie robi sobie z tego wiele i poczekawszy trochę, czy czasem która z krzykaczek nie wpadnie do wody wskutek nieostrożnego ruchu, rusza dalej, a kotawce, dumne z odniesionego zwycięstwa, plądrują i hałasują po drzewach.

Ze względu na wesołe i przyjacielskie usposobienie małpy te należą do najczęściej trzymanyh w menażeryach i mieszkaniach.



Maks Semberton.

Pałac w głębi oceanu.

(Dalszy ciąg).

Otworzyłem szafę i zaczęliśmy przeglądać strzelby i rewolwery, które mieliśmy w zapasie. Zawołałem Dolly Vena i przyrzekłem mu, że go wezmę z sobą, a Piotr tymczasem powiedział załodze, że kapitan z kilku ludźmi wysiądzie na ląd w ważnej sprawie, a oni mają służyć we wszystkim pana Jakóba. Potem poszli na obiad a ja zostałam na pokładzie. Wiatr się zerwał dosyć silny, i dął z zachodu. Wyspa zniknęła nam z oczów, morze było zupełnie puste i spokojne. O szóstej spotkaliśmy statek pocztowy z Santa Cruz, płynący na morze Żółte, zamieniliśmy z nim sygnały, a potem znów było cicho.

Kazałem zwolnić biegu, a następnie wracać do wyspy i od tej godziny zaczęła się nasza robota.

Opowiedziałem wam krótko i wczelwato, co się nam przytrafiło i co postanowiliśmy dalej czynić. Wszystkie te wydarzenia spadły na mnie tak niespodziewanie, tak mało wiedziałem o troskach Maryi Bellenden, że czułem się jak człowiek błądzący po ciemku, który jednak musi znaleźć drogę. Dolly Ven nie utrzymał języka za zębami i cała załoga wiedziała w jakiej niewoli znajduje się obecnie moja pani, a każdy majtek zakułby mnie w żelaza, gdyby przypuścił na chwilę, że chcę ją opuścić w nieszczęściu. Co prawda narażaliśmy się na wielkie niebezpieczeństwo, ale któżby dbał o własną marną skórę, jeżeli szło o uratowanie bezbronnej kobiety i do tego dzielnej żeglarki. Ani jeden z moich ludzi nie cofnąłby się od wyprawy, nawet, gdyby mu powiedziano, że znajdzie grób na wyspie. Zresztą mieliśmy okręt i byliśmy pewni, że w razie potrzeby przyjdzie nam pomoc z San Francisco. Dziś wiem, że to były daremne nadzieje, ale wtedy przecież nie mogliśmy przypuścić, że nasz biedny „Krzyż Południowy” będzie leżał na dnie morza. A jednak tak się stało.

Zawróciliśmy z drogi o szóstej po południu, a była już dziewiąta, gdy po raz drugi dopłynęliśmy do wyspy Ken i po raz drugi mieliśmy wylądować. Noc była jasna, księżycowa, za jasna dla nas, ale cóż by-

ło robić? Kazałem spuścić szalupę i włożyć do niej dwie baryłki słodkiej wody i skrzynię sucharów. Strzelby i naboże zawiązałem w nieprzemakalne płótno i położyłem na dnie łodzi, a każdy z nas wziął rewolwer do kieszeni i zatknął za pasem wielki składany nóż, któryby się mógł przydać w ręcznej walce. Kazałem wziąć jeszcze kilka ciepłych kołder i zapasów żywności na cały tydzień.

Od przybytku głowa nie zaboli, a jeżeli nam co zostanie, to przywieziemy napowrót. Szalupa od cięzaru nie zatonie, a nam się może wszystko przydać.

Księżyc świecił bardzo jasno i w jego blasku widzieliśmy wyspę, która jak wielka skała wychodziła z głębi oceanu. Gdy ukończyliśmy przygotowania, pan Jakób zwrócił uwagę, że dziś nie pali się wcale owa latarnia, którą widzieliśmy wczoraj. Na wyspie nie było żadnego światła, a morze było czarne jak atrament. Więc pocóż ją wczoraj zapalono? Straszna myśl przeleciała mi przez głowę.

Ten, co ją pali, to waryat albo zbrodniarz. A może jedno i drugie?

To szczęście, że nie daliśmy się wczoraj złapać. Mój biedny ojciec zawsze mówił, że...

Nie dowiedzieliśmy się jednak tego wieczoru, co mówił ojciec Piotra Bligh, gdyż nagle rakietą wystrzeliła nad morzem, a rozsypując się w tysiące złoto błękitnych iskier, oświeciła bladym światłem skały wybrzeża i wzburzone fale. A gdy wiatr unosił ostatnie iskry, nasz olbrzymi stolarz, Jan Barker, stojący przy burcie zawołał na cały głos: Okręt u brzegu! okręt u brzegu!

V.

(Straszne rzeczy dzieją się na brzegu, a dziwne rzeczy w głębi wyspy).

Kiedy Jan Barker zawołał, że widzi okręt u brzegu, zrozumieliśmy od razu, że wpadł między skały, że mu grozi niebezpieczeństwo, a jako prawdziwi marynarze wiedzieliśmy, co nam wypada uczynić, krzyknąłem: „Do łodzi!” i wnet każdy człowiek stanął na swoim posterunku. Ręce im drżały ze wzruszenia i niejeden z nich miałby ochotę wypowiedzieć swoje uwagi, ale milczeli czekając dalszych rozkazów. Ja zaś z lunetą przy oku starałem się dokładnie wyrozumieć położenie okrętu i wynaleźć sposób aby mu przyjść z pomocą, narażając jak najmniej własnych ludzi. Obok mnie stał pan Jakób i Piotr Bligh, którzy także patrzyli w tamtą stronę.

— Niema wątpliwości, że jakiś statek wpadł pomiędzy skały, a nawet zdaje mi się, że po masztach poznaję „Santa Cruz,” któryśmy spotkali dziś po południu. Po chwili zaś dodał: Niebezpieczne, bardzo niebezpieczne miejsce!

— Ale na brzegu pełno jest poczciwych ludzi, którzy strzelają do biednych rozbitków, zauważył Piotr Bligh. Z początku nie chciałem wierzyć, ale w parę sekund później niepodobna było przeczyć tej strasznej prawdzie.

Na Boga! czyż to być może? a przecież to wystrzał! Więc staliśmy blisko siebie i nasłuchiwalismy, drżąc z oburzenia. Zanim można było przerachować do dziesięciu, dała się znowu słyszeć salwa karabinowa i nad skałami zabłyśły czerwone ognie. To była odpowiedź na moje pytanie.

Rozbójnicy strzelają do załogi rozbitego okrętu: Czy słyszał kto o podobnej niktzemności? Ale ja im zapłacę choćby mi przyszło samemu zginąć! Spuśczaćcie szalupę i dalejże w drogę!

Łodzie zakołysały się na morzu, załoga zajęła swoje miejsca. Już schodziłem po schodkach, gdy

Jakób dotknął mego, ramienia i zrobił uwagę, że mu się nie zdarzyło ani razu w ciągu dziesięciu lat, naszej znajomości.

— Przepraszam pana ale żadna siła ludzka nie uratuje „Santa Cruz”

— Dlaczego?

— Bo okrętu już niema na powierzchni morza.

Stanąłem, jak gdyby mnie paraliż raził, a potem podniosłem lunetę do ocz i spojrzałem na północ, gdzie między skałami znajdował się przed chwilą okręt. Lecz okrętu już nie było. Zniknął w mgnieniu oka; morze go pochłonęło, tylko nad wodą, jak krzyk potępieńców, unosiło się wołanie ginącej załogi.

— Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a ukarż zbrodniarzy, rzekł Piotr Bligh, zdejmując czapkę. Pan Jakób jednak, zawsze przezorny mówił dalej:

Od naszego okrętu do owych skał jest co najmniej cztery mile morskie, a księżyc zajdzie za dziesięć minut. Nie dopłynąłbyś kapitanie po ciemku, a choćbyś nawet dopłynął, to przy życiu nie znajdziesz nikogo. Największa łódź rozbija się o rafy i cóż potem? Mamy własnych przyjaciół, których należy ratować i powinniśmy korzystać ze sposobności, jaką nam daje Opatrzność. Nie myśl kapitanie, że mam twarde serce, ale umarłym nie pomożemy, a żywi nas oczekują.

Uznałem od pierwszej chwili, że miał słusność. Morze się coraz silniej burzyło i przelewało z szumem, który słyhać było aż u nas pomiędzy skałami na północnej stronie wyspy. Więc nietylko krucza szalupa, ale nawet duży okręt, jak to dopiero mieliśmy dowód na biednym „Santa Cruz” nie mogły się oprzeć falom, które go unosiły na rafy koralowe. Jeżeli zaś, te szatany nikczemne zajęte były dobijaniem załogi i rabowaniem rozbitego okrętu, to południowa część wyspy była wolna i mogliśmy bezpiecznie wylądować. Lepszej sposobności nie można było żądać. Później kiedy poznałem historię Maryi Bellenden, wdzięczny byłem sobie, że usłuchałem mądrej rady pana Jakóba.

— Dobrze mówisz, przyjacielu, nie mam prawa lekkomyślnie narażać życia moich poczciwych marynarzy. Wiatr się zrywa coraz mocniejszy; każ wciągnąć jedną szalupę na okręt, a do drugiej wsiąść z czterema ludźmi i odpłynę do wyspy, jak dawniej uradziliśmy.

Tak mówiłem do Jakóba, ale do załogi trzeba było inaczej przemówić.

— Widzicie chłopcy! zawołałem, morze burzy się coraz mocniej, i niema łodzi, któraby wyszła cało, z pomiędzy skał i raf koralowych. Z duszy i serca pomógłbym rozbitek, ale to przechodzi siły nasze. Jest jednak ktoś inny na wyspie, który z niepokojem czeka naszego przybycia, a jest w wielkim niebezpieczeństwie. A ten ktoś, to kobieta, to moja dawna pani. Idę ją ratować, a wy tymczasem zostańcie tutaj, i słuchajcie we wszystkim pana Jakóba. On mnie teraz zastępuje. Czy dobrze chłopcy?

— Hurra! zawołali, co w naszym położeniu było rzeczą bardzo nieogledną. Na szczęście chmura przysłoniła księżyc i morze pokryło się jak gdyby ciemną mgłą. Nie kazałem zapalić ani jednej latarni na „Krzyżu Południowym,” okna kajuty pozastaniałem gęstymi frankami, zatem nie było go widać z brzegu, a światło, wychodzące z koninów wyglądała jak słaby, czerwony odblask na morzu. Kiedy w pięciu wsiedliśmy do łodzi, (wziąłem jeszcze Henryka Doe, aby nam czółno pilnował) tak odpłynawszy o jakie kilkadziesiąt kroków, nie dostrzegliśmy ani cienia okrętu i nie widzieliśmy go więcej.

Powiedziałem wyżej, że o zachodzie słońca zer-

wał się silny wiatr, a o dziewiątej, to jest w chwili, gdy opuszczaliśmy statek, fale wznosiły się wysoko i nie bardzo było bezpiecznie, nawet w mocnej szalupie puszczać się na nieznane morze. Zawsze powtarzam iż zawdzięczamy to więcej szczęściu niż zręczności, że dopłynęliśmy bez wypadku do zatoki i że się nam udało wylądować na miękkim piasku u samych stóp drabiny. W zatoce było cicho i spokojnie: wyciągnęliśmy szalupę na brzeg i wydawszy Henrykowi Doe właściwe rozkazy zostawiliśmy go samego.

— Strzelaj w razie potrzeby! Raz, to będzie znaczyło, że nas wzywasz, dwa razy że mamy się trzymać z daleka. Ale pamiętaj! strzelaj tylko w ostatecznym razie.

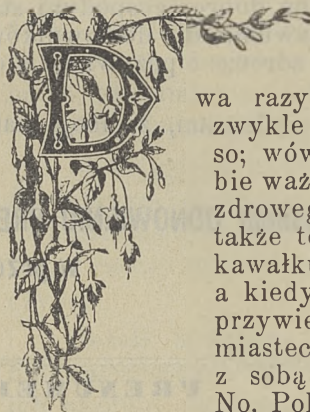
Henryk odpowiedział szeptem.—Dobrze kapitanie co bardzo przypominało mruczenie niedźwiedzia, i wtedy my czterej, to jest Piotr Bligh, Jan Barker, Dolly i ja wdrapaliśmy się jak koty po drabinie na szczyt skały. Nie można powiedzieć, że mieliśmy duszę na ramieniu, bo co do mnie, to nigdy nie uląłem się żadnego człowieka i za moich towarzyszków ręczę także. Ale zestawivszy to, cośmy przed chwilą widzieli, ze słowami Maryi Bellenden, i z przygodą, która spotkała mnie samego i Dolly Ven na tej właśnie wyspie, nie należy się dziwić, że serca nam były trochę prędzej, i że ściskaliśmy od czasu do czasu nasze rewolwery. Pomyślcie tylko: byliśmy w czarnej noc w nieznanej miejscowości, otaczał nas gęsty las a z za drzew wyskoczyć mógł rozbójnik i postąpić z nami, jak z owymi rozbitekami na wybrzeżu. Nic więc dziwnego, że szliśmy w milczeniu blisko siebie, aby w danym razie przyjść jeden drugiemu z pomocą.

(d. c. n.)

Czego nauczyłam się na wystawie łódzkiej.

LIST III. (MIĘSO).

Wólka.



wa razy w tydzień dostarczają nam zwykle z pobliskiego miasteczka mięso; wówczas mama każe je przy sobie ważyć i patrzy, czy świeże i ze zdrowego zwierzęcia. Na wystawie także tego uczono, i pokazywano na kawałku mięsa, kiedy jest dobre, a kiedy nie. Gdy więc przedwczoraj przywieziono, jak zwykle, mięso z miasteczka, kazała mi mama pójść z sobą do spizarni i powiedziała: No, Polciu, daj teraz dowód, że skorzystałaś z wystawy. Oto masz kilka kawałków mięsa różnej wartości; pokaż, które dobre, a które odesłać trzeba rzeźnikom. Wydała mi się, że ćwiartka baraniny, musi być nieświeża, bo wydawała woń nieprzyjemną, przytem mięso było zielonkowatego koloru, miękkie w dotknięciu, wilgotne. Tłuszcz zamiast koloru białego lub białego żółtawego, był ciemno żółty, co dowodziło, że mięso pochodziło ze starego, źle odżywianego lub chorego zwierzęcia. Obok leżała poledwica wołowa; mięso było koloru krwi, ścisłe, elastyczne, w dotknięciu wilgotne i zimne. Wszystkie te przymioty wskazywały, że mięso dobre. Przywieźli także kiełbasę; wyglądała czerwono, apetycznie, tak, jak kiełbasa wyglądająca powinna, ale chciałam przekonać się, czy cza-

sami ten kolor nie był sztuczny, bo rzeźnicy często barwią siekane mięso koszenilą, karminem lub fuksyną. Odciełam więc mały kawałeczek kiełbasy, włożyłam do kieliszka i oblałam spirytusem monopolowym; spirytus pozostał biały, to znaczy, że kiełbasa nie była zafarbowana ani karminem, ani też fuksyną, bo inaczej spirytus byłby zabarwił się na czerwono. W drugim kieliszku oblałam trochę mięsa z kiełbasy rozwodzoną na pół gliceryną i poczekałam chwilę, czy płyn nie zafarbuje się koszenilą, która rozpuszcza się w glicerynie. Ale płyn pozostał bezbarwny, co oznaczało zatem, że kolor czerwony był naturalny. Mama była zadowolona, iż potrafiłam tak sobie radzić i powiedziała: Dobrze, dziecko, będzie z ciebie kiedyś dobra gospodyni. Widzę, że cię warto już zabrać z sobą; umiesz korzystać, nauczyć się czegoś. Bardzo byłam rada z pochwały i aby dać dowód, że więcej jeszcze zapamiętałam, z tego co dotyczy rozpoznawania mięsa, dołączam inne jeszcze szczegóły. Kurczęta i kury zdechłe bywają po miastach sprzedawane zamiast zabitych, a poznaje się je po wychudzeniu, ciemnych plamach na skórze, bladeści grzebienia i dzioba. Sprzedawca nie wprowadzi dobrej gospodyni w błąd, choćby poderzwał gardło zdechłej kurze, a ranę krwią wysmarował, ponieważ taka krew zmyje się łatwo, a zapadnięte oczy, wstrętny zapach i zielonkawe zabarwienie skóry wykażą istotny stan rzeczy.

Właśnie pisałam brulion tego listu, kiedy przyjechała do nas z sąsiedztwa pani B. z córką, moją rówieśniczką, z którą jednakże nie bardzo się lubimy, bo ona ciągle buja po obłokach, pisuje wiersze, a mnie krytykuje, że jestem za prozaiczna, chociaż i ja przecież bardzo lubię czytać ładną poezję i zachwycać się piękną okolicą. Dowiedziawszy się, jaka mniej więcej treść mego listu, chciała koniecznie go przeczytać i była zgorzozna, że mogę pisać o takich nieapetycznych rzeczach. Fe, mięso, mięso i mięso mówiła ze wstrętem, a jednak przecież nieraz widziałam, z jakim apetytem zjadała zwierzynę lub drób pieczony. Nie wiem, ale mnie się zdaje, że to przecież żaden wstyd zajmować się gospodarstwem, a mama mówi, że obowiązkiem dobrej gospodyni starać się o zdrowe, posilne pożywienie dla domowników, a tem samem i wiedzieć, co zdrowe i pożywe, a co szkodliwe. Czy nie prawda?

W tej chwili przyszedł telegram, że moja nau-

czycielka, panna Stanisława, przyjeżdża wieczornym pociągiem. Za kwadrans konie wychodzą po nią na stację; kończę więc list pospiesznie, aby go jeszcze dzisiaj wysłać.

Pozostaję z poważaniem.

P. Raj.

ZE ŚWIATA.

Ś. p. ks. arcybiskup Kłopotowski. Przed dwoma tygodniami zmarł w Petersburgu arcybiskup Mohylowski, metropolita rz. kat. kościołów w cesarstwie, ks. Bolesław Kłopotowski, urodzony w gub. Podolskiej 13 marca 1848 r. Zmarł dostojnik kościoła w 17 roku życia wstąpił do seminarium w Żytomierzu, i od samego początku zajął się gorliwie pracą naukową i obowiązkami swego powołania.

W prędkim też stosunkowo czasie został profesorem a potem rektorem akademii duchownej w Petersburgu, w roku 1898 biskupem łucko-żytomierskim, i w r. 1901 arcybiskupem największej dyecezyi katolickiej na świecie.

SZARADA.

Szara Muszelka dla Lili Wenedy.

Pierwsze jest w alfabecie, *drugie* włoska rzeka.
Trzecie, czwarte i piąte ma wszelakie ziele,
Wszystko zwykle spotyka takiego człowieka,
Co mało ma rozumu a próżności wiele.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Szarady: Za — pu — sty.

Arytmogryfu:

1) Kraszewski. 2) Saratów. 3) Aldona. 4) Urban. 5) Gniezno. 6) Ujazdów. 7) Sarbiewski. 8) Tynec. 9) Yonne. 10) Nalczów. 11) Kopczyński. 12) Opole. 13) Rajtar. 14) Dessau. 15) Elbrus. 16) Chodkiewicz. 17) Kongo. 18) Inowrocław.

Ks. Augustyn Kordecki — Iwanowice - Wieruszow.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał 2-gi dla uniknienia zwłoki, w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Anioł cierpliwości, wiersz przez E. Lejową. — Obrońca Jasnej Góry (z portretem). — Błękitna wstęga, powieść z XVI w. przez Z. Morawską. — Pawiany i kotawce, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Pałac w głębi oceanu, przez Maksę Pembertonę (z ryc.) — Czego nauczyłam się na wystawie łódzkiej. — Ze świata. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek** Deszcz i pogoda, wiersz przez Alfreda Ludowskiego (z ryc.) — Zagadki babuni. — Mirko, syn rybaka. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Wielkie cele, powieść dla młodzieży przez Irenę Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Ценаурою. Варшава 24 Февраля 1903 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balinska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

DESZCZ I POGODA.



I.

Czyście, dziatki, się przyjrzały,
Jak wygląda Tadzio mały,
Gdy się dąsa, gniewa, kwasi,
Łzy wylewa i grymasi?
Twarz od płaczu opuchnięta,
Piąstka gniewnie zaciśnięta,
Oko złość w około miota:
To mi Tadzio! to niecnota!
Gdy go takim widzisz, dziatwo,
To zgadujesz chyba łatwo,
Że on w złości i uporze
Miłym chłopcem być nie może!



II.

Lecz ten Tadzio ma też chwile,
Gdy się śmieje słodko, mile;
Twarz radością wtedy pała,
I jak słońko świeci cała!
Już nie dąsa się, nie gniewa,
Łez strumieni nie wylewa,
Rady starszych pilnie słucha —
Wszyscy chwalą tego zucha!
Powiedz teraz, miłe dziecię,
Czy nie lepiej żyć na świecie
W ciszy, zgodzie, uprzejmości,
Niżli w krzyku, gniewie, złości?

Alfred Ludowski.

ZAGADKI BABUNI.

II.

— Idziemy, idziemy już, a czy kochana babunia
wymyśliła już jaką zagadkę?

— O tak — odrzekła, całując każde.

— A kto będzie dziś odgadywał?

— Ja — zawołała Zochna.

— O, przepraszam — zaprzeczył Maryanek —

Nazajutrz babunia już od godziny szóstej oczekiwiała wnuków, a ci niebawem nadeszli.

ja jestem od ciebie starszy, mnie się należy, ty jutro, prawda babuniu?

— Jeżeli mamy postępować podług wieku, to tak. Poniedziałek, pierwszy dzień tygodnia, należał do Felusia, drugi—wtorek przypada dla Maryanka, dopiero środa należy do Zochny!

— Tak, a to ja dopiero w sobotę będę zgadywał — zawołał najmłodszy pieszczoł Zygmunt — ja nie chcę tak długo czekać.

— To nic z tego, że nie chcesz, musisz, mój drogi, jesteś najmłodszy, siostrzyczki mają przed tobą pierwszeństwo.

— To ja się nie będę bawił!

— A to nie, wolna wola, możesz nawet wrócić do domu, jeśli chcesz.

Pieszczoł skrzywił buzię do płaczu, zakrył oczy rączkami i już miał zagrać na organkach, jak chłopcy starsi nazywali jego cieniutki płacz, ale właśnie babunia przyniosła talerzyk z ciasteczkami i rzekła: ¶

— Nim rozpoczniemy zabawę, spróbujmy ciasteczek, kupiłam je dziś, mają być podobno wyborne.

Zygmunt zapomniał o płaczu, babunia dała mu śliczne ciasteczko, chrupał je z apetytem; gdy wszyscy zjedli, dzieci otoczyli babunię, a Maryanek sam wybiegł do drugiego pokoju i żeby go nie podejrzewali, że podsłuchuje, główkę położył na kanapie i oczy zasłonił rękami.

-- Już, już, prosimy.

— Od kogo zaczynam? — spytał.

-- Naturalnie, od babuni.

Uklonił się zamaszycie.

— Cóż babunieczko, czy to zwierzątko, tak jak wczoraj?

— O bynajmniej, żyje, ale nie zwierzę.

— A więc człowiek?

— I to nie!

— Jaktó, nie zwierzę i nie człowiek, a żyje? to być nie może, przecież prócz ludzi i stworzeń, niema nic więcej żyjącego!

— Przepraszam, jest.

— Maryś zmarszczył czoło i spojrzał w sufit, a później palcem puknął się w czoło.

— O głowo do pozłoty! jest, jest przecież cały świat roślinny, żyjący. To pewnie roślinka?

— Tak.

— Jak wygląda?

— Niewielka, wyrasta w mały krzaczek, pochodzi z rodziny krzyżowych, ma nasionka w strączku małym, podobnym do strączka grochu.

— Czy rośnie u nas?

— Tak, ale pielęgnowana, flancowana w inspektach, w stanie dzikim rośnie w krajach Europy południowej i w Azji.

Maryś marszczył czoło coraz więcej.

— Nie, nie się nie domyślam.

— Mogę ci jeszcze dużo szczegółów przytoczyć. Pokrewne jej siostrzyce mają tak jak ona, liście podługne, wąskie, kwiaty w kiściach wyrastają na osobnych łodygach, a bywają różnego koloru, ciemno-

fioletowe, ponsowe, białe, kremowe, te zaś, o których mowa, najczęściej żółte, ciemno-brązowe, ponsowe z aksamitnym połyskiem. Zapach przedziwny; u wujaszka na wsi, dużo ich sadzą w ogrodzie, a na zimę przesadzają w doniczki, bo już w styczniu i lutym ładnie kwitną.

— Czy to już wszystko, co mi mogła babunia powiedzieć o tej roślinie?

— Tak.

— No, to pewnie będę płacił kopiejki, bo dotąd nic a nic nie wiem.

— To źle, panie bracie, ale chodź do nas, my ci także dużo mamy do powiedzenia.

— Więc zaczynajcie — mówił trochę rozdrażniony Maryś — co to jest?

— To jest wytwór ludzki, mieszanina żywiczna, zabarwiona na kolor czerwony najczęściej, ale bywa też czarna i niebieska. Łatwo się bardzo topi, nawet przy najmniejszym światełku, nawet przy zapałce. Zapach ma przyjemny, ale tylko wtedy, jak się topi, w kawałku jest zupełnie bezwonny,

— A do czego to ludzie używają?

— Do pie... — zawołała Hela, ale nie dokończyła, bo ją zgromiła Zosia.

— Helu, cicho, nie trzeba tak wszystkiego po imieniu nazywać, zaraz się domyśli.

Ale się Maryanek wcale nie domyślił, tylko powtórzyl.

— Powiedzcież raz do czego używają.

— Do różnych rzeczy, mój drogi, ale najczęściej do butelek, żeby zapach zawartego płynu nie wietrzał, do odciskania herbów, liter, monogramów.

— Tak — dodał Felus — a dawniej to jeszcze w urzędowych dokumentach musiały być z niego pieczę...

Ale także nie dokończył, tylko prędko dodał:

— Dawniej koniecznie to było potrzebne przy listach, ale teraz to już wyszło z mody, zastępującem innem.

— Ach, już wiem, tak, tak! Kwiatek, gatunek lewkonii i lak do pieczętowania butelek i listów.

— A tak, ale żeby nie Hela, co się zawsze ze wszystkim wygadać musi, to nie zgadłbyś.

— Wcale nie, bo już miałem powiedzieć.

— Ehe, prawda, nie bardzo tyś domyślny, bracie, nie!

Nie sprzecyżajcie się dzieci i nie dokuczajcie Maryankowi — przerwała babunia, niosąc wnukowi prześliczną pieczętkę z perłowej masy. — Masz kochanku, właśnie są na niej litery twego imienia i nazwiska, bo takie same nosił twój dziadek, weź i schowaj na pamiątkę, jest też na niej herb szlachecki, którym się cała nasza rodzina pieczętuje.

Maryanek ucałował z wdzięcznością ręce babuni, a ona rzekła:

— Jutro coś nowego wymyślę dla Zochny, zobaczymy, jak jej się powiedzie.

W tej chwili stanęła we drzwiach bona, panna Karolina.

— Pani prosi, aby dzieci poszły spać.

Wszystkim się odejść nie chciało.

— O, tak jeszcze wcześniej.

— Nie, drogie dzieci, dawno już wybiła dziewiąta — rzekła babunia — zresztą i ja spocząć muszę. Jutro musimy być wszyscy zdrowi, aby się znów zabawić, a wiadoma rzecz, że sen potrzebny jest na równi starym, jak dzieciom.

Słowa babuni były rzeczą świętą, dzieci pożegnały się i wyszły.

MIRKO, syn rybaka.

(Dalszy ciąg).

Nikt nie idzie matko Dobrochno, odpowiada dziewczyna, ale daleko na gościńcu coś miga i błyszczy, jakby samo słońce w podróż się wybrało. Jakiś wielki orszak gościńcem jedzie.

— Patrz Hanko! patrz pilnie co tam więcej widzisz?

— Oj! widzę rycerzy na koniach, wszyscy od złota srebra i czerwieni, a czaple pióra na kołpakach wiewają! za nimi wozy jakies i jeszcze konnych kupa.

— Patrz Hanko! patrz pilnie, co jeszcze więcej widzisz?

— Jedzie na przedzie jakiś rycerz najstrojniejszy. Koń bułany z czarną grzywą ledwie piasku kopytami dotyka, rycerz dał znak ręką, zatrzymali się wszyscy, on jeden naprzód się wysuwa, pacholek za nim. O rety! do naszej chaty zmierza.

— Mirko, Mirko! krzyknęła Dobrochna i wybiegła przed chatę, dalej iść nie mogąc, jakby nogi wrosły jej w ziemię.

A piękny rycerz dobiega cwałem do wrót, zeskakuje z konia, rzuca lejce pacholekowi, a sam pada do nóg ukochanej matce.

— Matko! matko! szczęśliwa to godzina, w której cię znowu oglądam. Ale czemu gołąbko moja siwa, włosy twoje tak pobielaly, jakby je śnieg przyprószył? Czemu liczko zbladło, jakby nigdy na nie słońko nie świeciło.

— Oj! synu najmilszy, lzy to i tęsknota tak mnie wybieliły, a słońko mi też nie świeciło, bo długie lata nie oglądałam ciebie! Ale wszystko złe minęło nie zapomniałeś starej matki, dotrzymałeś słowa. Tak mi się wydaje, jakbym wody odżywiającej wypila.

— Chodź mateńko do chaty, niechże i ją powitam, niech mnie chleb dawny posili, opowiem ci moje dzieje, bo nie na długo przyjechałem.

Matka i syn nacieszyć się z sobą nie mogą! Orszak królewski rozłożył się pod lasem w namiotach i czeka powrotu Mirka.

Tymczasem dzień ma się ku schyłkowi i ze wszystkich stron gromadzą się czarne, burzą grożące chmury. Matka patrzy z niepokojem na niebo i cią-

gle powtarza: Dziecko moje nie puszcę cię dziś z powrotem, po tylu latach niewidzenia, nie odmów mi tej pociechy i zostań jeszcze.

— Zgadzam się mateńko, ale mam również do ciebie prośbę. Wiem, że przechowujesz rybackie ubranie mego ojca, daj mi je, chcę przymierzyć czy pasuje na mnie.

— Po co to Mirku? Tyś do innego przywyknął.

— A jednak mateńko, muszę dziś właśnie iść z wędką nad jezioro, nie pytaj mnie po co, powiem ci tylko, że chodzi o życie ludzkie.

— Niechaj dobre duchy mają cię w swojej opiece! nie mogę ci przeszkadzać w tem, co uważasz za swój obowiązek, ale pamiętaj, nie narażaj się bo nie przeżyłabym twej śmierci.

Świsł wiatru i huk grzmotów przerwał jej mowę. Burza wybuchnęła z taką gwałtownością, że cała chata drżała, jakby miała się zapaść za chwilę. Na jeziorze fale piętrzyły się jak góry, bijąc z wściekłym rykiem o brzegi. Mirko spokojnie włożył rybackie ubranie, wyszukał mocną wędkę, usiadł i czekał, słuchając odgłosów szalejącej burzy. W tem pierwszy kur zapiał.

— Do widzenia mateńko! — przemówił wstał i poszedł w stronę jeziora;

Matka modliła się cicho.

Pioruny padają w około, wicher przewraca drzewa, ogromne bałwany zalewają wybrzeże, a pod wierzba, której gałęzie z ludzkim jękiem uderzają wodę, stoi Mirko bardziej podobny do posągu z kamienia, aniżeli do żywego człowieka. Zarzucił wędkę w wodę i czeka. Straszne potwory o smoczycich łbach, ogromne węże syczące przyplływają tuż do stóp śmiałego [rybaka, już, już mają się na niego rzucić, on ani drgnął, patrzy tylko na sznur swojej wędki, szarpany gwałtownością prądu i czeka. Wtem wędka wyprężyła się nagle, widać, że wielka ryba połknęła haczyk. Mirko wyteża wszystkie siły, a tu pioruny biją w wodę tuż przy nim, potwory rzucają się na niego, bałwany jeden za drugim oblewają go, wierzba jęczy coraz przeraźliwiej, a on na nic nie zważając, wyciąga na ląd złapaną zdobycz, jeszcze chwila, srebrzysta łuska ryby dotyka brzegu, i o dziwo! w tej chwili potwory gdzieś przepadają, jezioro uspakaja się, księżyc wychodzi z za chmur, rozlewając łagodne światło na stojącą przed Mirkiem szesnastoletnią dziewczynę, w białej szacie, ze złotymi włosami w dwa długie warkoczki splecionymi, nieco dalej na miejscu, gdzie stała wierzba, klęczy blady człowiek.

— Dzięki ci wybawco mój — woła dziewczę — twoja odwaga mnie ocaliła, a czy żyje mój ojciec król Dobromir? Odprowadź mnie do niego, on wynagrodzi cię hojnie, a dla mnie będziesz bratem i przyjacielem.

— Królewno Jagodo! Twój dobry ojciec żyje, orszak królewski czeka na ciebie stąd niedaleko, jutro pojedziesz do Krasnogrrodu, ale dziś, chodź ze mną, zaprowadzę cię do chaty mojej matki pod jej spoczniesz opieką.

(c. d. n.)

SZARADA.

Z Maryampola.

Kiedy dwie dziewczynki, razem sobie chodzi,
 Wtenczas *pierwsze z drugim* na myśl nam przychodzi,
 A znów *pierwsze z czwartem*, sprzęt duży, drewniany,
 Do przewożenia towarów, bywa używany.
 Wspak, samo *trzecie* bywa przeplatane,
 Częściej gorzkie niż słodkie, lecz od Boga dane,
 W temże samem, trzeciem, wprost, gdy kreskę dodamy,
 Rzecz niezbędną w każdej kuchni otrzymamy.
Wszystko, w rękach pań i panierek widzujemy w lecie,
 Więcej nie napiszę, bo łatwo zgadniecicie.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

ul. Mazur.

| | | | | | | | | | |
|--|--|--|--|--|--|--|--|--|--|
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | |

W podanym tu kwadracie roz-
 łożyć liczby: 58 — 62—65—68—72
 — 76—79—83—86—89—93—96—100
 —103—107—110—114—121—125—
 128—131—135—139—142, ażeby
 w każdym kierunku t. j. piono-
 wym, poziomym i przekątnym,
 po dodaniu wypadła liczba 500.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Szarady; Kra — więc.

Łamigłówki w kwadracie:

L u t n i a
 W i o s n a
 A n t o n i
 L u d w i k
 P a p r o ć
 K o m p a s

Litwos — pseudonym H. Sienkiewicza.

Skrzynka do listów.

K. Mil. Szarada, o którą zapytujesz nie może być dru-
 kowana, łamigłówkę lit. pomieścimy później.

Halce i Zdzisiowi. „Świat Zwierząt” Brehma i pisma
 Hofmanowej wysłałiśmy. Należność cała zapłacona. Od Hal-
 szki oczekujemy odpowiedzi na „kwestyonaryusz dziewczęcy”.

Dobre rozwiązania zadań i zadania własnego
układu nadesłali: Zochna z nad Pełtwi, Dwie Sowy z nad
 Bohu, Stefan Skw., Pojata, Kokoszka, Skowronek, Malina,
 Czesz Cz. i Zbigniew.

Na każdy list radabym zaraz odpisać, ale nie wszystkie
 odpowiedzi mieszczą się w najbliższym numerze, więc i cie-
 bie **Litwinko z nad Szeszupy**, za mimowolną zwłokę w od-
 powiedzi przepaszam. Polecenia twoje spełnione, mam na-
 dzieje, żeś już otrzymała żądane książki. Chcąc powiększyć
 zbiór twoich kart, wysyłam dwie pod wskazanym adresem.
 Twoja maleńka siostrzyczka śliczna być musi ze swemi 6-ma
 ząbkami, ucałuj ją w obie rączki ode mnie — niezmiernie lubię
 takie maleństwa.

Bez obawy kochana **Muszelko z nad Rosi** możesz

przepisać wskazany wierszyk na konkurs kaligrafii. Pismo
 twoje porządne, tylko czasami literki się chwiewają i laski nie
 zupełnie proste, ale „zważywszy, że masz ósmy rok, sędziowie
 będą względni i niezbyt wymagający. Najmilsze chwile to
 nauka z mamusią i nie dziwię ci się, że z pewną trwogą my-
 ślisz o przyszłym wyjeździe z domu, wszędzie jednak pilno-
 ścią, pracą i dobrocią zjednasz przychylność i zadowolenie
 nauczycieli, przełożonych i koleżanek.

Po jednorocznej nauce nieźle piszesz **Lili**, że czasem
 błąd się mały wkradnie, to nie dziwne dla początkujących.
 Dobrze robisz namawiając Zosię do zapoznania się z mną,
 każdej nowej korespondentce rada jestem, bo choć nieznane,
 żadna z czytelniczek „Wieczorów” obcą mi nie jest.

I ciebie witam po raz pierwszy **Promyczku z nad**
Wołgi, a na wstępie zapewniam, że obawy twoje były pło-
 ne, bo po dwukrotnem odczytaniu twego listu, nie znalazłam
 ani jednego błędu. Bardzo mnie to cieszy, że pismo nasze
 czytasz z zajęciem, a odpowiedzi w „Skrzynce” zachęciły cię
 do poznajomienia się z mną. Czy otrzymałaś początek żąda-
 nej powieści? Promyczek długą drogę odbywa zanim z nad
 Wołgi zaświeci w Warszawie, ale niechaj się nie zniechęca
 odległością i nie skąpi bliższych wiadomości o sobie.

Od **Białej Kotki i Kukułki** prawie jednocześnie
 listy otrzymałam, jedna drugą w liście wspomina, więc też ra-
 zem obydwoim odpisuję, chociaż każda gdzieindziej odpowiedź
 czytać będzie. Gdy Białej Kotce brakuje jakiego numeru
 a chce go prędko otrzymać, najlepiej, aby się sama do red-
 dakcy zgłosiła. Kukułka widzę, że robi postępy w muzyce,
 kiedy już grywa takie trudne kawałki. Lekcje idą dobrze,
 więc nie dziwnego, że po pracy zabawa jest przyjemną. Po-
 winnaś zwrócić bacniejszą uwagę na pismo, litery bardzo
 małe i nierówne, staraj się pisać jak Biała Kotka, stawiając
 większe i równe litery. Co się dzieje z Czarnym Kruczkiem?
 Już dawno nie miałam o nim wiadomości.

Czy otrzymałaś kochana **Czeremcho** żądane numera,
 które już dawno wysłano? Przy czytaniu zajmującego listu,
 o nudzie nie może być mowy. Do konkursu kaligrafii możesz
 należeć, a sądzę, że i na kwestyonaryusz odpisać potrafiśz, bo
 widzę, że pojmujesz i rozumiesz dokładnie, iż chcąc stać się
 pożyteczną w przyszłości, za młodu dużo się uczyć i praco-
 wać potrzeba, a zwalczać lenistwo i niechęć do pewnych
 przedmiotów, pamiętając, że każdy potrzebny i zajmujący, by-
 le się do niego zabrać z ochotą. Imiona R. dobrze odgadłaś.
 Różyczka z Czernihowa dawno się nie odzywała. Gołąbka ko-
 respondowała dawniej z czytelnikami „Wieczorów”. Józio był
 jej bratem i pisywał listy z Warszawy.

Za cóż miałabym robić wymówki przyjacielowi memu,
Antosłowi z nad Warty, zrobię tylko maleńką uwagę —
 przez roztargnienie zapewne zamiast **g** piszesz czasami **k**,
 a czasami zjadasz litery, nie posilny to pokarm, staraj się
 więc lepiej pozostawiać je na miejscu; pamiętaj też, że drugi
 pisze się zawsze przez **u**, a wymówki (pochodzą od mowy)
 przez **ó**. Gdybym miała chęć skrzydła mych imienniczek
 pofrunęłabym nad Wartę i ukryta za oknem, posłuchałabym,
 jak to mój mały przyjaciel z zamiłowaniem wygrywa już
 sztuczki na fortepianie.

Wszystkie omyłki pocztowe naprawione i żądane nume-
 ra musiałaś już otrzymać **Dumko z nad Wisły**. Gdy masz
 tylko jaki interes, to śmiało pisz do mnie i nie nazywaj
 inaczej jak Jaskółką. W drugim roku nauki piszesz bardzo
 dobrze, lubisz czytać Wieczory, lecz co cię najwięcej zajmuje?
 Donieś o tem, jako też więcej szczegółów o sobie.

Łowiczance za typ gospodarza ze swej okolicy na pię-
 knej kartce b. dziękuję i zapowiedzianego długiego listu
 oczekuję. Od **Skowronka** należy mi się także dłuższa pio-
 senka listowna, jako dodatek do łamigłówki, pamiętaj, że
 odpowiedzi wysnuwam z waszych listów.

Jaskółka.

P. S. Jeszcze wiele odpowiedzi czeka swej kolei w „Skrzynce.”